

PO MUCHOMORACH

GABRIELA MUSKAŁA, AKTORKA:

Kiedy zdarzały się przebląsy świadomości, babcia wołała:
„Boże, nie zabieraj mi pamięci! Pozwól mi wiedzieć,
że żyję, pozwól mi zrozumieć, że jestem”.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Chciałaby Pani o czymś zapomnieć?

GABRIELA MUSKAŁA: Przeciwnie. Najgorsza rzecz, jaka mogłaby mnie spotkać w życiu, to utrata pamięci.

Nawet gdy wspomnienia dręczą?

Nawet tych bolesnych nie chciałabym nigdy zapomnieć. To bezcenne, mieć pod koniec życia pełen obraz siebie. Jesteśmy zbudowani z tego, co było dobre, piękne i szlachetne, ale też z tego, co głupie, wstydlive i krzywdzące.

No nie wiem.

To ja opowiem pani o mojej babci. Urodziła się w 1913 r. Była rzeczowa i pragmatyczna. Na alzheimera zachorowała w początkach lat 80. Dwaj bracia taty z rodzinami wyemigrowali wtedy do Niemiec. Babcia wyjechała z nimi, zresztą my także, ale rodzice po dwóch tygodniach zdecydowali, że wracamy. To jednak zupełnie inna historia...

Ją też proszę opowiedzieć.

Dobrze, ale do babci jeszcze wrócimy. Tata, z zawodu kardiolog, był motorem tej rodzinnej emigracji. Odkąd pamiętam, namawiał do niej swych braci. Nie mógł znieść życia w zakłamanym kraju, chciał być wolnym człowiekiem. Wujkowie początkowo byli niechętni, bali się ryzykować – mieli małe dzieci. W końcu jednak, po paru latach tych taty namawiań – zdecydowali się. Jesienią '81 wyjechaliśmy trzema samochodami do Niemiec, skąd po jakimś czasie mieliśmy lecieć dalej, do Kanady albo Stanów. Miałam 12 lat, moja

siostra Monika 15. Nasza rodzina jechała maluszką na najwolniejszym pasie niemieckiej autostrady. Wyglądało to tak: tir, tir, tir, tir, nasz maluszek i tir... Ci, którzy nas mijali na szybszych pasach, pokazywali nam znak zwycięstwa. A ja z Moniką siedziałyśmy na tylnym siedzeniu, jadłyśmy misie Haribo i też odpowiadałyśmy im znakiem zwycięstwa.

Gdy dojechaliśmy na miejsce do miejscowości Kempen, wujkowie od razu zgłosili się do urzędu emigracyjnego, dostali mieszkanie i zapomogę. A rodzice przez dwa tygodnie wyruszali do okienka i spod niego zawracali. Mama ciągle płakała za Polską, a tatę nagle zaczęły dopadać wątpliwości. Czy im się uda, czy mama nie rozpadnie się z tęsknoty za Polską, czy znajdą w sobie tyle siły, by emigrować dalej i zaczynać życie od nowa? Świadomość, że mogą nigdy nie wrócić do ojczyzny, nie dawała mu spokoju. Wujkowie i ich żony już uczyli się niemieckich słówek, szukali pracy – skoro wreszcie podjęli decyzję, teraz nie mieli zamiaru się cofać ani oglądać wstecz. Byli konsekwentni. A rodzice po dwóch tygodniach postanowili wrócić do Polski.

Złamali się jednak?

Niezupełnie. W drodze powrotnej: w samochodzie straszna, gęsta od emocji cisza. Tata kieruje, mama obok cichutko pociąga nosem. Wie, że kiedy wrócimy, tata będzie żałował. Tata nagle stwierdza: „Nie! Zawracamy!”. Po czym zawraca auto na środku ulicy i znów jedziemy do Kempen. Mama w płacz. Po 15 minutach tata znów zawraca w kierunku granicy: „Jedziemy do Polski. To nie ma sensu...”. Ta podróż

trwała wiecznie. Była noc, tata zawracał w jedną albo drugą stronę. Zatrzymaliśmy się w jakimś lasu na siusiu, i kiedy wróciłam do auta, spytałam: „Tato, to my teraz jedziemy do Polski czy do Niemiec?”. Kiedy wreszcie przekroczyliśmy granicę, otwarła się czeluść: długi pas drogi pomiędzy granicami zachodnich Niemiec i Czechosłowacji, gdzie nie było żadnych znaków, świateł, tylko złowrogi mrok.

Wróciliśmy do domu. Po trzech miesiącach ogłoszono stan wojenny. Tata się załamał, miał krótki okres depresji. Po pewnym czasie jednak zrozumiał, że decyzja o powrocie była słuszna. Zwłaszcza kiedy Polska stała się wolnym krajem.

A co z pamięcią i babcią?

Wtedy też z nami emigrowała. Tata i jego bracia byli z nią bardzo związani, wiedzieli, →

GABRIELA MUSKAŁA jest aktorką i dramatopisarką. Z siostrą, Moniką Muskałą, tworzą duet pisarski Amanita Muskaria. Autorka scenariusza do filmu „Fuga” (Złote Lwy dla najlepszego filmu na festiwalu w Gdyni) w reż. Agnieszki Smoczyńskiej, w którym zagrała główną rolę. W lutym w Teatrze Narodowym odbyła się premiera sztuki „Jak być kochaną” w reżyserii Leny Frankiewicz, gdzie zagrała Felicję. W tym roku dostała trzy nominacje do nagrody filmowej Orły: za rolę w filmie Marka Koterskiego „Siedem uczuć” i w „Fudze”, oraz w kategorii „Odkrycie roku” za scenariusz do tego filmu.



→ że dużo jej zawdzięczają. Babcia młodo owdowiała, dziadek zmarł w 1954 r., kiedy mój tato – najstarszy z trzech synów – miał 15 lat. Babcia praktycznie sama ich wychowała.

Już w latach 70. miała przebliski dziwnych zachowań. Mimo pojawiających się coraz częściej artykułów o alzheimrze i jego pierwszych słynnych przypadkach – Ricie Hayworth i Ronaldzie Reaganie – synowie bagatelizowali te objawy... Ale one się nasilały. W Niemczech babcia dawała już w kość wujkom. Kiedyś jeden zadzwonił do taty i powiedział, że w szufladzie, gdzie babcia trzymała pierścionki i inne swoje precjoza, znalazł karteczkę: „Złodzieju, niech ci rączka uschnie”. Chyba dopiero wtedy tato przyjął do wiadomości, że babcia ma alzheimera. Jeden wujek był prawnikiem, drugi ekonomistą, tato lekarzem – wiadomo było, kto najlepiej zajmie się babcią.

I babcia wróciła do Polski?

Zamieszkała z nami. Przez całe liceum obserwowałam chorobę, w której się pogrążyła. Miała jej agresywną postać: była strasznie podejrzliwa. Jedząc obiad dopytywała: „To jest sałata? Taka zielona, psia-krew jedna? Zjem, ale jak umrę, żądam sekcji zwłok!”. Pomstowała całe dnie: „Trzech synów wychowałam własnoręcznie. Trzech synów. Trzech synów... skurwysynów!”. Mieszkaliśmy w budynku ośrodka zdrowia na pierwszym piętrze. Na parterze tato przyjmował pacjentów. Babcia schodziła na dół i zaczęła ludzi: „Proszę pani, mój syn jest szanowanym obywatelem Ołdrzychowic, ale ja pani powiem, że ja w tej jednej, jedynej sukience chodzę. Jeżeli ubłagam, to dostanę czasem suchą bułkę, a tak to nic...”.

By nie zwariować, ratowaliśmy się śmiechem. To było uwalniające i oczyszczające. Wtedy uwielbiałam odgrywać różne scenki, robić domowy teatrzyk dla rodziców. Odgrywałam też babcię Władzię – przebierałam się w jej ubrania, garbiłam jak ona, chodziłam po domu i pomstowałam.

A w 2001 r. zagrała Pani babcię w „Podróży do Buenos Aires”, monodramie, który napisała Pani z siostrą.

Jeszcze wcześniej monolog babci powiedziałam na egzaminie do szkoły teatralnej. Zasugerował mi to wspaniały, nieżyjący już aktor Kazimierz Borowiec, którego poznałam na festiwalu Wroclawu

Wrocławiu, gdzie zaproszono mnie jako laureatkę ogólnopolskiego amatorskiego konkursu recytatorskiego w sekcji monodramu. Borowiec spytał, czy kończyłam szkołę teatralną. Ja: „Nie, dwa razy się nie dostałam”. On: „Jak chcesz, możesz przyjechać do Krakowa, pomogę ci się przygotować do egzaminu”.

Jeździłam do niego raz w miesiącu i między recytowaniem wiersza czy prozy opowiadałam o babci – to był czas jej najintensywniejszego stadium choroby. Borowiec rzucił: „Napisz, jak ona się modli”. Bo babcia płynnie przechodziła w modlitwach do przekleństw. Klęczała w koszuli nocnej przy łóżku, z grzecznie złożonymi rękami, i recytowała bez zająknięcia: „Żebyście tak czeszli, czeszli, i szesznać nie mogli w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, żeby sumienie dręczyło, żeby dręczyło sumienie w najprzyjemniejszych chwilach życia, sumienie za krzywdy wyrządzone jako w niebie, tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy, ja nikomu źle nie życzę, ale żeby ręce, nogi połamali za to, co tu ze mną wyrabiają, i nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego. Amen”.

Ta „modlitwa” znalazła się w tekście „Podróży do Buenos Aires”.

Nie tylko modlitwa. Nagrywałam babcię grundigiem i zapisałam cały gruby zeszyt jej monologów, z którego później korzystałyśmy z Moniką, pisząc monodram – to był niesamowity dokument.

Babcia dzień i noc chodziła po mieszkaniu i pomstowała. Kiedyś powiedziałam: „Babciu, błagam cię, za chwilę zdaję maturę, nie mogę się uczyć”. Na co babcia: „Muszę mówić! Gdybym nie mówiła, to bym się udusiła!”. Więc z tej bezradności włączyłam jej magnetofon, żeby sama siebie posłuchała. Powiedziałam: „Babciu posłuchaj, czy to można wytrzymać? Posłuchaj sama siebie!”. I jej głos poszedł z grundiga: tu mi zabierają, tu mnie chcą otruć, tu mnie oszukują... Babcia na moment zamilkła, słucha, a ja się łudzę, że może coś zrozumie. A ona nagle mówi w stronę tego magnetofonu: „Przepraszam panią, ja jestem Władysława Muskała, a pani jak się nazywa? O Boże! Naprawdę? Naprawdę kradną? No to muszę pani powiedzieć, że my jesteśmy w takiej samej sytuacji! Mam taki pomysł: ja się tu przesunę, pani koło mnie się położy, jakoś dotrwamy do rana,

a jutro pójdziemy na pocztę i zapytamy o rentę. Bo mi rentę też zabierają”. Stałam jak zaczarowana i słuchałam, jak babcia prowadzi dialog ze sobą.

Obok tragikomicznych sytuacji z szukaniem szczęki czy prawej piersi, którą, jak sądziła, ktoś jej ukradł, zdarzały się momenty przejmujące. Na przykład kiedy babcia nie mogła doliczyć się własnych dzieci, które tak bardzo kochała. Wymieniała: „Grzegorz, Antoni, Jasiu, Antoś, Grzesiu, Antek, Jan... Boże!!! Przecież troje! Troje dzieci przecież miałam!”. I zaczynała od nowa. Dalej nie mogła się doliczyć, płakała. Zrozpaczona pytała: „Ileż to ja mam tych dzieci?”. Zdarzały się jej przebliski świadomości, wtedy wołała: „Boże, nie zabieraj mi pamięci! Pozwól mi wiedzieć, że żyję, pozwól mi zrozumieć, że jestem”.

Zaczynam rozumieć, skąd ten pseudonim: Amanita Muskaria, którym z siostrą podpisujecie swoje wszystkie sztuki. To łacińska nazwa muchomora, którym narkotyzują się szamani...

...w Jakucji, gdzie podróżowała Monika. Ten pseudonim to jej pomysł. Pasował nam bardzo do tytułu naszej pierwszej sztuki. Monologi babci przypominały taki odjazd po muchomorach...

Temat pamięci nas nie opuszcza. Jest też głównym bohaterem naszych następnych sztuk. W „Daily Soup” inspiracją postaci Babki była nasza druga babcia – Marysia, która miała dobrą pamięć, ale też niesamowitą wyobraźnię. Tę rolę w Teatrze Narodowym zagrała pani Danusia Szaflarska.

Do filmu „Fuga” napisała Pani scenariusz i zagrała główną rolę. Bohaterka pod wpływem traumy traci pamięć biograficzną. I odchodzi z domu stając się innym człowiekiem.

13 lat temu w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...” zobaczyłam kobietę, wtedy trzydziestoparolatkę, moją rówieśniczkę. Nie знаła nawet swojego imienia, nie miała pojęcia, że jest matką. Poprzez program szukano ludzi, którzy mogą ją rozpoznać, w końcu zadzwonił jej sąsiad. W pustych oczach tej kobiety było coś, czego nie można zobaczyć w oczach innych ludzi. Każdy ma swoje życie wypisane w spojrzeniu. A u niej nie było tam nic.

Ta kobieta przypominała Pani babcię, której choroba potężnie zmieniła osobowość?

Jednak alzheimer pojawia się wbrew woli, a fuga jest rodzajem uwolnienia, krótkotrwałą ulgą, bo przecież przeszłość znika wyłącznie w pamięci. Ona istnieje i za chwilę upomni się, by za nią wziąć odpowiedzialność. Człowiek podświadomie chce wtedy zapomnieć o tym, czego doświadcza, bo żyje w traumie, w toksycznym układzie czy dramatycznych warunkach społecznych. I zawsze jest podobny schemat: taka osoba chce popełnić samobójstwo, wyjeżdża gdzieś daleko, ale nie potrafi się zabić – tak jak wcześniej nie potrafi zmienić swojego życia. I wtedy, w akcie samoobrony, mózg resetuje pamięć biograficzną. Potem, kiedy odnajduje się rodzina, wraz z nią przychodzi przypomnienie: oto jesteśmy, ja jestem twoim mężem, a ja twoim dzieckiem – wróć i bądź taka, jak byłaś. A tym osobom często o 180 stopni zmienia się osobowość, są kompletnie kimś innym. I na przykład wraca do domu taki mężczyzna, który zaginął sześć lat wcześniej, a jego żona opowiada później: „Wrócił obcy mężczyzna w skórze mojego męża”.

A w „Jak być kochaną” w Teatrze Narodowym, gdzie gram Felicję, pamięć jeszcze inaczej jest potraktowana. To pamięć, która nie chce się zapomnieć.

Felicję w „Jak być kochaną” zagrała w 1962 r. Barbara Krafftówna. A Kazimierz Brandys, autor opowiadania, które sfilmował Wojciech Jerzy Has, historię oparł na losach aktorki zakochanej w koledze z pracy, którego za okupacji ukrywa i dla którego gra w niemieckich teatrach. W ten sposób chce go chronić.

Z Barbarą Krafftówną spotkałyśmy się kilka dni przed premierą spektaklu. Dopytywała: „Jak wy o tej wojnie opowiadacie?”. Powiedziałam: „Pani Barbaro, wiem, że po filmie Hasa pewnie trudno będzie pani oglądać wersję teatralną – to zupełnie inne medium, nowa adaptacja...”. A ona złapała mnie za rękę i mówi: „Ja na to właśnie czekam, żeby było inaczej, żeby ten Brandys został odczytany na nowo”. Poprosiłam ją też o kopniaka w tyłek – na szczęście. To był kopniak od Felicji dla Felicji. Dla mnie przedpremierowy, bezcenny dar.

Niczego nie chciałaby Pani zapomnieć. W takim razie, do jakich wspomnień lubi Pani wracać?

Kiedy urodziłam syna, położono mi go na piersiach, złapał mnie maleńką rączką

Babcia dzień i noc chodziła po mieszkaniu i pomstowała.

Kiedyś powiedziałam:

„Babciu, błagam cię,
za chwilę zdaję maturę,
nie mogę się uczyć”.

Na co babcia: **„Muszę mówić!
Gdybym nie mówiła,
tobym się udusiła!”.**

za palec. Spojrzał mi w oczy, choć wiedziałam, że jeszcze mnie nie widzi. Dotarło do mnie, że to osobny człowiek, z własnym charakterem. Ale jako jego mama będę mu towarzyszyła przez wiele lat. I zrozumiałam, jak wiele w jego życiu będzie zależało ode mnie. Przyszła świadomość tej ogromnej odpowiedzialności. Ale przede wszystkim szczęście.

Tylko jedno wspomnienie?

Jedno z najbardziej intensywnych. Lubię też moje wspomnienia z czasów, kiedy sama byłam dzieckiem: wolność na łąkach odrzychowskich, zabawy w gospodarstwie naszej sąsiadki, pani Bednarskiej. Bezcenne flesze: siedzę w stajni z gromadką dopiero co urodzonych prosiaków, albo z cielaczkiem, który próbuje ssnąć mój rękaw. Albo hodowla ślimaczków. Za kościołem był dziecięcy ponieemiecki cmentarzyk. Żyły tam całe rodziny ślimaków. Godzinami obserwowałam, jak wędrują, każdy dostał ode mnie imię. Sprawdzałam, co się z nimi dzieje, który poszedł na sąsiedni grób albo zaginął.

Zdarzały się też z nimi traumatyczne sytuacje: pożegnałam się ze ślimaczkami, bo mama zawołała mnie na obiad. Biegnę przez łąkę i nagle coś mi chrupnęło pod nogą. Ja – miłośniczka ślimaków – zabiłam jednego z nich. Dramat! Płakałam i urządzałam mu pogrzeb. Ratowałam żaby: wywoziłam do jeziora w lesie ze stawu w parku, gdzie chłopcy tłukli je kijami. Najgorliwiej ci, którzy sami wcześniej dostawali pasem od ojców.

Kiedyś tata przyniósł mi zajaczka. Dostał od pacjenta na jakiejś wizycie – kot przyniósł go z lasu. Nie miałam pojęcia, że

dla dzikich zwierząt krowie mleko jest trującą. Biedny zajaczek po dwóch dniach karmienia umarł w męczarniach. Albo jastrząb, który wypadł z gniazda. Przyniosła mi go koleżanka. Hodowałam, karmiłam go wnętrznościami kur. Jastrząb rósł, gubił już puch, miał coraz więcej piór i wielki apetyt. Pewnego dnia wyjeżdżaliśmy do Gliwic odwiedzić rodzinę, więc jastrzębia z całą instrukcją obsługi zostawiłam na przechowanie u koleżanki. Ale ona wbrew moim zakazom postanowiła nauczyć go latać. Złamał skrzydło. Chodziłam z nim do weterynarzy, a oni pukali się tylko w głowę: „Dziecko, już nic z niego nie będzie”.

Smutne te historie.

Tak, ale dla mnie dziś niezwykle inspiрующие. Jako córce lekarza zdarzało mi się widywać nieboszczyków. Tata wioząc mnie do szkoły muzycznej w Kłodzku musiał gdzieś wstąpić, by stwierdzić zgon. A ja dreptałam za nim. Za dnia widywałam zmarłych, a w nocy przychodziły do mnie ich duchy. Nie mogłam spać, zawijałam się w kołdrę, bałam się, że duch mnie dotknie... To był stan, który przypomina opis śmierci klinicznej: leżałam w łóżku i ze strachu traciłam przytomność. Wpadałam w tunel, leciałam w nim i wirowałam, a jednocześnie wiedziałam, że leżę w łóżku. Straszne uczucie. Kiedyś powiedziałam o tym rodzicom. I tata zdecydował: „Będiesz spała z nami. Trzymaj nas za ręce i jak się tylko to zaczniesz, ściśnij dłoń moją lub mamy”. Więc leżałam między nimi i dopóki nie spali tak jak ja, to się nie bałam. Lecz gdy usłyszałam ich miarowe oddechy, wiedziałam już, że zasnęli i że znów jestem sama. I wtedy przychodził ten lęk i ten sam scenariusz: wpadałam w tunel i leciałam, wiedząc, że leżę w łóżku. I mimo prób nie mogłam ścisnąć rąk rodziców, bo byłam nieprzytomna, a moje dłonie bezwładne.

I o tym też nie chciałaby Pani zapomnieć? Może bez tego nie zostałyby Pani aktorką.

No właśnie. Może w Kanadzie czy Ameryce te marzenia i wspomnienia nigdy by do mnie nie przyszły. Ale kiedy teraz wspominam wzruszenie rodziców po mojej pierwszej premierze i mokrą od łez marynarkę taty, myślę: cudownie, że takie chwile możemy pamiętać... I chyba dobrze, że wtedy wróciliśmy do Polski.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA